

Jan Skoumal: Cisza zamiast upragnionej piosenki

„Zagraj najlepszą piosenkę i odjedź” to proza o ludziach zastygłych. Może i pędzących pełną drogą, może i lubujących się w ucieczce, a nawet ruszających na ciągłe wędrówki w głąb siebie, ale w rzeczywistości – obolałych od tkwienia w jednym punkcie.

Pewien mędrzec zbierał do kosza kamienie, by następnie – po odpoczynku w cieniu akacji – oddać je z powrotem skąpanej w słońcu ziemi. Podobnie Michał Gołębiowski gromadzi prozę za prozą, jedna za drugą kolejne impresje: wkłada do swego kosza kobiecy włos niczym drachmę z przypowieści, advent i wypalonego skręta, łaskę i bezalkoholowego radlera, przebaczenie i różę, wyszytą na góralskiej chuście lub skórzanej kurtce bogobożnego motocyklisty. Zabiera nas na poszukiwania dowodów na prawdziwość tego, co było, i nadziei na to, co będzie, które kulminują się w wieńczącej zbiór mikropowieści. Wówczas kamienie z kosza lądują u naszych stóp, a wraz z nimi wezwanie – do zagrania najlepszej piosenki. Tej sprzed odjazdu, tej, w której zaniedbywaniu wszyscy jesteśmy przecież tak biegli.

Zbiór „Zagraj najlepszą piosenkę i odjedź” to proza dni: bez ostrego podziału na przeszłość i teraźniejszość, zacierająca granicę między czasem powracającym a tym, który bezlitośnie postępuje, także wtedy – a może nawet: przede wszystkim wtedy – gdy nie wiemy, co z nim uczynić, jak się do niego zabrać. Rolę chronologii przejmuje tu

porządek, w jakim autor wpuszcza nas do swojego świata, w jakim rzuca nas na głęboką wodę postępujących za sobą chwil. Rozpościerają się one od granic realnego świata – gdzie zza świetlistej zasłony emanuje obecność utraconej kobiety – do samego jego centrum, najprzyziemniejszego jak to tylko możliwe, zogniskowanego w mazi z rozdeptanych czereśni, strąconych niewiadomymi siłami z drzewa. I tak jak Pan Bóg wie wszystko, a góral wie wszystko lepiej – tak my zachęcani jesteśmy do szukania prawdy, do której droga zdaje się bieć gdzieś między namacalnym a niezemskim, gdzieś między zaciągającym się chmurami niebem a chwilą, która jest „sakramentem obecności Boga”.

Otwierające tom opowiadania są trochę jak strojąca się orkiestra – tu przeciągają smykem skrzypce, na nutę bardziej podhalańską niż filharmonijną, tam kotły rozgrzewają się, wybijając rytm koncertu o góralu-Jezusie i ceprach-fałszywych prorokach. Śledzimy palce skaczące po klapach i strunach, coraz bardziej gotowi na wysłuchanie ostatniej piosenki, po której nic już nie nadejdzie. Kończymy lekturę ostatniego opowiadania, otwieramy tytułową stronę mikropowieści niczym dyrygent partyturę i zamieniamy się w słuch. I dajemy się uderzyć hukowi dojmującej ciszy.

Andrzej, o którego przeszłości wiemy niewiele ponad to, że usiana jest porzuconymi przez niego osobami, przesuwając czasem bezwiednie koraliki różańca – nie modli się przy tym, ale samo odmierzanie koronek palcami traktuje jak ćwiczenie duchowe. Podobnego rodzaju ćwiczeniem duchowym jest cała jego historia, zaczynająca się na długo przed dymem narkotykowym i kanapą u kumpla-dilera. Choć wypełniają ją słowa i obrazy, spowija je gęsty dym ciszy – braku modlitwy, nie wspominając już o piosence. Posługując się jeszcze

metaforą orkiestry, nie sposób nie odnieść wrażenia, że milczy ona, pozwalając piosence – niczym minutom ciszy, rozpisywanym przez Johna Cage'a – działać się niejako samej: wraz z chrząknięciami i szmerami czekającej w napięciu widowni, do Andrzeja napływają strumieniem kolejne myśli. O wolności, nadziei, utracie pierwotnej niewinności, o smutku, od którego wolni są tylko martwi, i o życiu z wielką dziurą w sobie. Towarzyszą mu one, gdy jedzie przed siebie na motocyklu, z głową otumanioną dymem – ale nie za mocno, żeby nie „rozwalić się na drodze” – i ciszą, której nie potrafi zagłuszyć nawet ryk silnika.

Michał Gołębiowski stawia przed nami człowieka w ewidentnym dołku, psychicznym i życiowym, przekonanego jednak o swojej rosnącej świadomości, spragnionego zagrania ostatniej piosenki, nim odjedzie. A odjeżdżał już nieraz: porzucił kochającą go dziewczynę; zerwał kontakt z motocyklistą-kaznodzieją, nie mogąc patrzeć, jak pomimo postępującej choroby nie traci on wiary; teraz zaś zaszywa się znów w podhalańskiej pustelni i szuka ucieczki w paleniu „zioła” i muzyce z płyt. Nigdy jednak jego odejściu nie towarzyszyła owa najlepsza piosenka, dobro, które mógłby uczynić na odchodnym, czyn, za który by go zapamiętano. Zamiast tego jego życie składa się z wiecznego wykradania w środku nocy, wyłączania dźwięku w telefonie i ucieczek z cichym warkotem silnika. Zamiast koić swoją i nie zostawiać pustki w innych duszach, gasi o nie pety i znika.

„Zagraj najlepszą piosenkę i odjedź” to proza o ludziach zastygłych. Może i pędzących połą drogą, może i lubujących się w ucieczce, a nawet ruszających na ciągłe wędrówki w głąb siebie, ale w rzeczywistości – obolałych od tkwienia w jednym punkcie. Ludzie tacy jak Andrzej tam, gdzie inni mają pchający ich do przodu sens lub

choćby jego złudzenie, mają tylko dziurę w piersi, niczym Chrystus wiszący na krzyżu u wejścia do jednego z podhalańskich kościołów. Gołębiowski zestawia z nimi mnichów i mędrców, którzy, choć z pozoru tkwią w miejscu – w pustelniach, pod drzewem akacji, zbierając i wysypując kamienie z wiklinowego kosza – zdają się żyć głębszym sensem widocznym tylko dla nich, kojącym przed śmiercią i pomimo dziesiątek lat ślepoty. Jeden z nich przyrównuje doświadczanego przez życie człowieka do sykomory, którą dobry ogrodnik nacina, by rosła słodsza, inny zaś wyjawia, że wieczność jest już obecna w ludzkich gestach. Swoistą instrukcję takiego gestu, nadania sensu swoim czynom, dostaje w pewnym momencie także Andrzej – w postaci niepozornej, znalezionej w kościele ulotki. Roztacza ona przed nim trudną, ale wypisaną w punktach, nuta za nutą, drogę do odegrania najlepszej piosenki. Gołębiowski pokazuje nam zaś, że nadzieja równie łatwo może się narodzić i podupaść, a jej zniszczenie – potrafi tkwić gdzieś niedopowiedziane, kilka nieistniejących stron za końcem opowieści.

„Czy jest w twoim życiu ktoś, kogo mógłbyś otoczyć modlitwą?” – wieńczące kościelną ulotkę pytanie pobrzmiewa w otumanionej głowie Andrzeja, przebija się także do naszej świadomości i każe zapytać o to samych siebie. Czy mamy za kogo się modlić? Czy mamy do kogo (a nie – przed kim) uciekać w ciężkich chwilach? Kogoś, kogo nakarmimy, by on nakarmił nas swoją obecnością? I czy ktokolwiek wysłucha naszej ostatniej modlitwy, ostatniej piosenki, nim odjedziemy?

Jan Skoumal



Michał Gołębiowski

Zagraj najlepszą
piosenkę i odjedź

AR
CA
NA
OWIECZKOWICZ

Michał Gołębiowski, *Zagraj najlepszą piosenkę i odjedź*, wydawnictwo Arcana, Kraków 2026, [ss. 208].

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [531]:
„Orzeszkowa. Republika pracy”**